

Obóz wędrowny 33 KHDŻ Pasat – Wielkie Jeziora Mazurskie. - Rejsy, wyprawy

Nadesłany przez:

Przesłany: : 29.01.2012, 16:20:00



Zima za oknem może nie jest zbyt sroga, może być jednak trochę męcząca... Dlatego mimowolnie zaczynamy marzyć o rejsach dużych i małych, wspominając te zeszłoroczne.

Oto skromny dziennik prowadzony podczas jednego z obozów kieleckich żeglarzy.

Powspominajcie razem z nami!

Niedziela 31.07.2011



Około godziny 11:00 wyjechał obóz stacjonarny, który odbywał się w Rydzewie przez ostatnie dwa tygodnie. Pożegnaniom nie było końca, jednakże po jakimś czasie autokary ruszyły do Kielc. Ci, którzy zostali, od razu zabrali się za sprzątanie kuchni, placu apelowego, hangaru, łazienek... A także za przygotowanie trochę wymęczonych po dwóch tygodniach pływania szkoleniowego łódek do prawdziwego rejsu. Zajęło nam to sporo czasu, czyli aż do ogłoszenia zbiórki na obiad. Po posiłku kadra wyczytała podział załóg, więc mogliśmy wrzucić

nasze bagaże na koje, a że była to niedziela, to wyruszyliśmy do kościoła. Wieczorem odbyło się ognisko, na którym przedstawiona została kadra i zaśpiewano kilka piosenek, które mają szansę stać się obozowymi hitami. Około 22:30 nastała cisza nocna, wyjątkowo poszliśmy spać od razu, zmęczeni niewiarygodnymi wysiłkami dnia dzisiejszego.

Poniedziałek 1.08.2011

Dzień zaczął się zaprawą poranną. Po niej nastąpił codzienny apel, z oficjalnym mianowaniem kadry, na którym ogłoszony został debiut druha oboźnego Bartka Roguli – sam zainteresowany, chociaż nieco zadziwiony, od razu zabrał się za swoją pracę. Po śniadaniu członkowie wacht dokończyli przygotowywać łódki do rejsu. W samo południe wyruszyliśmy na wodę, z lekkim poślizgiem Mistrała, którego sternik zostawił na brzegu telefon komórkowy. Płynęli więc wszyscy: w naprędce laminowany do ostatniej chwili Ventus, Mistral (maki 606), Kielce i Święty Krzyż (focusy 650) i flagowy okręt, czyli przepiękna Antila 22 „Sabat”, w swym dziewiczym rejsie. Płynęliśmy tak na południe aż do jeziora Tałty, gdzie zacumowaliśmy „na dziko”. Po obiadokolacji odbyło się ognisko opowiadające o tym co będzie się działo na obozie. Po ognisku chętni zostali na tzw. śpiewankach a następnie ogłoszono ciszę nocną.

Wtorek 2.08.2011



Rano, jak co dzień pobudka, zaprawa, apel i wreszcie długo oczekiwane śniadanie. Po tym rytuale wypłynęliśmy na wodę. Rejs przebiegał spokojnie do czasu, kiedy naszemu wspaniałemu Mistralowi przy stawianiu masztu złamał się saling.

Jak to zrobili? Jak tak drobne i subtelne dziewczyny, które tam śpiewały, zdołały zniszczyć solidny kawał dębu? Nie wiadomo do dziś.

Nieoczekiwany postój w Mikołajkach zaowocował wyjściem na gofry, czasem wolnym i ku uciechu wszystkich wreszcie: obiadem. Po przerwie wyruszyliśmy na jezioro Śniardwy, gdzie zacumowaliśmy na półwyspie zwanym przez niektórych „wyspą”. Wieczorem odświeżyliśmy się, kąpiąc się w jeziorze, bo mimo późnej pory wciąż było ciepło. Jako, że w rozkazie ogłoszono ognisko z przedstawieniem wacht to oczywiście odbyło się ono. Cztery wachty przygotowały na nie piosenki opowiadające o poszczególnych osobach, zaś wachta Ventus zaistniała wśród reszty wspaniałym poematem. Jak na każdym ognisku tak i na tym nie zabrakło piosenek i kilku płaśów dla tych, którzy już koniecznie musieli to zrobić. Jak zawsze również po kręgu odbyły się „śpiewanki” dla chętnych. Później nastała cisza nocna.

Środa 3.08.2011



Rano po apelu i śniadaniu – jakże wyjątkowym, gdyż były płatki z mlekiem – wypłynęliśmy na południe, w stronę Rucianego-Nidy. Mieliśmy stanąć w porcie, lecz „U Faryja” zabrakło dla nas miejsc przy kei. Zaczumowaliśmy zatem po drugiej stronie jeziora, w tradycyjnym miejscu, zaraz za mostem. Zapasy żywności wyczerpały się nieoczekiwanie, więc po sklarowaniu łódek „chętni” wcisnęli się na pokład Sabatu i przepłynęli do parku w Rucianem. Stamtąd w kierunku, który zawsze młodzież odnajdzie: do sklepu. Zapasy zostały uzupełnione, wybrani zanieśli je do Antilli, a pozostałe osoby wyruszyły na podbój miasta (głównie łazienek). Po powrocie odbyło się ognisko prowadzone przez druhnę Vanessę. Biorąc pod uwagę stałe miejsce zamieszkania drużyny V., ognisko dotyczyło piosenek po angielsku, więc całej Beatlesowsko – Cohenowskiej klasyki, którą nieoczekiwanie okazało się, że znamy. Zagościli na tym ognisku wędrowcy z Kielc, robiąc skromny audyt: drużna Blanka, Maja, druha Adam oraz druha Edi, który chcąc – nie – chcąc, zaczął tego wieczora swoją przygodę z harcerstwem. Następnie nastała cisza nocna, spuszczając na to wszystko zasłonę milczenia.

Czwartek 4.08.2011



O poranku po śniadaniu wykąpaliliśmy się. Następnie wypłynęliśmy na jezioro Nidzkie, na którym odbyły się regaty obozowe. Od razu trzeba zdementować pogłoski, że nie wiało. Wiało, tylko bardzo słabo. Metą był pomost przy leśniczówce „Pranie”, gdzie wiatr się wzmógł, walka toczyła się do ostatnich metrów, a w oczach zgromadzonych na pomoście odbijała się obawa, że pomost trzeba będzie remontować... Całe szczęście rozsądek w ostatniej chwili nakazał stanąć do linii wiatru... W Praniu wysłuchaliśmy życiorysu K. I. Gałczyńskiego. Po zwiedzeniu muzeum udaliśmy się...

Dalej na południe. Wpłynęliśmy w strefę ciszy, więc chociaż mówiąc delikatnie, wiało „bardzo słabo”,

silniki nie poszły w ruch. Płynęliśmy tak w 1 w skali Beauforta aż do zachodu słońca. Potem, ku naszemu nieszczęściu, "cisza okryła świat", więc chwyciliśmy pagaje. Ostatni na miejsce postoju dotarł Mistral, który miał na łodzi potrzebne do przygotowania kolacji składniki, a przedostatni - Ventus - który miał służbę. Po skończonej kolacji - ognisko poświęcone Gałczyńskiemu: odczytywane były wiersze jego autorstwa (nawet kadra włączyła się w te przeżycia, interpretując całą duszą), przedstawiano sceny z „Teatryku Zielona Gęś”, aż do późnego wieczoru. Potem udaliśmy się na spoczynek, jeszcze pamiętając strofy:

Tu gdzie się gwiazdy zbiegły
W taką kapełę dużą
Domek z czerwonej cegły
Rumieni się na wzgórzu...

Piątek 5.08.2011



Rano po apelu śniadanie pierwszy raz przebiegło inaczej niż zwykle, gdyż przygotowane zostały tosty francuskie. Każdy z niecierpliwością czekał aż dostanie kolejną porcję. W końcu trudno się dziwić po prawie tygodniu monottonnych płatków z mlekiem.

Po śniadaniu wypłynęliśmy z powrotem na północ, z tego prostego powodu, że nie dało się już za bardzo płynąć dalej na południe (nie bez powodu nazywa się to miejsce Tylną Lipą). Wiatr wiał trochę silniej, dzięki czemu drogę do Rucianego pokonaliśmy w około 3 godziny. Tam stanęliśmy niedaleko naszego poprzedniego postoju, aby się wykapać, gdyż dzień był upalny. Po niesłychanej zabawie w wodzie i odświeżeniu się popłynęliśmy przez kanały oraz służę tak, że stanęliśmy na jeziorze Bełdany przy lekko krzywym pomoście. Po niezwykle udanej obiadokolacji (był ryż z cynamonem i cukrem), odbyło się zapowiedziane w rozkazie ognisko o poważnej harcerskiej tematyce. Śpiewaliśmy adekwatne do sytuacji piosenki oraz każdy z nas zapowiedział swoje plany i postanowienia na najbliższy rok i dalszą przyszłość.

Po zakończonym jeszcze w świetle zachodu ognisku, udaliśmy się do swoich koi i niektórzy zasnęli. Inni zaś balangowali na kei aż do uzyskania od oboźnego raportu karnego. Później zapadła noc, a cisza nocna ogarnęła wszystko swoją... Hmm... Ciszą.

Sobota 6.08.2011



Rano na zaprawie nie stawiała się wachta Mistral. Jak się później okazało „zdryfowały” one niefortunnie w trzciny. Była to sprawka druha oboźnego, gdyż to on osobiście wypchnął na środek jeziora niczego się niespodziewające panie. Prawdopodobnie zrobił to tylko po to, by zaproponować im swoją pomoc i bohatersko je uratować. One jednak poznały się na tym i pomocy odmówiły, a motywowane honorem na tyle szybko dopłynęły na swoje poprzednie stanowisko, że na apelu stawily się tak, jak co dzień.

Tego dnia po raz pierwszy dh komendant Wojciech Pietrzczyk ogłosił zmianę załóg. Celem tego była możliwość przepłynięcia się na naszej nowej Antili osób nie należących do wachty Sabat... Tak więc po podziale udaliśmy się do łódek, które wybraliśmy i zaraz po śniadaniu wypłynęliśmy. Po południu dopłynęliśmy do portu w Rynie. Tam mieliśmy czas wolny. Potem zjedliśmy spaghetti. Po dwóch godzinach samodzielnego zwiedzania miasta wyruszyliśmy do kina na „Kod nieśmiertelności”. Było to spełnienie marzeń niektórych członków kadry, którzy przez Ryn od wielu lat przepływali, ale „w kinie w Rynie” nie byli nigdy. Ku uciesze zagranicznych uczestników film był w języku angielskim z polskimi napisami. Dyskutując o sytuacji współczesnej kinematografii, wracaliśmy po portu. Po kręgu udaliśmy się do swoich łódek. Dh oboźny ogłosił ciszę nocną, jednak chwilę potem zaczął wchodzić na każdą łódź, aby ogłosić wyjście na dyskotekę dla chętnych. Kilka osób wychyliło głowy z koi jednak nikt nie zszedł na pomost, podejrzewając zapewne jakiś „haczyk”, więc wyjście się nie odbyło...

Niedziela 7.08.2011



Jako że niedziela nastała, zaprawa poranna się nie odbyła. Pobudka jednak była o tej samej godzinie, dzięki czemu mieliśmy więcej czasu do apelu. Po rozkazie znowu mix w załogach. Następnie śniadaniu wyszliśmy do kościoła – tym razem w pełnym umundurowaniu i szyku,

wyglądaliśmy naprawdę dobrze! Potem kadra udała się do sklepu po ostatnie sprawunki, a następnie wyruszyliśmy na północ. Jak wiadomo, pomiędzy południem a północą są kanały, które zawsze trzeba przebyć...

Już pierwszy z nich okazał się dla nas niezwykle. Zorganizowano tam burłaczenie. Z każdej załogi wybrano po jednej osobie (w większości były one „zielone” w temacie burłaczenia). Wszystko w formie zawodów sportowych... Wypchnęliśmy łódzie i rywalizacja rozpoczęła się. Ci, którzy nie wiedzieli, na czym polega zabawa powpadali do wody już na starcie... Nie ukrywam, że o to też chodziło. W niektórych załogach powstał nawet „bonus”, gdyż na ludziach, którzy chcieli pomóc tym będącym już w wodzie, również nie została żadna sucha nitka. Jedynie na „Świętym”, gdzie łódkę ciągnął nasz solidnie zbudowany oboźny, nikt nie wpadł do wody. Dh Jan Daranowski usilnie starał się wrzucić dh Bartka, wykonując wysoce skomplikowane manewry, lecz ten zapierał się z całych sił, tak, że pozostał suchy.

Po zakończonej zabawie przepłynęliśmy następne kanały. Później postawiliśmy żagle i na pełnym kursie wyruszyliśmy przez jezioro Jagodne. Trzeba zauważyć, że jak dotąd, dokądkolwiek nie płynęliśmy, zawsze przywiewał piękny fordewind, co najwyżej baksztag... Po południu stanęliśmy na kempingu obok kanału „Kula”. Tam odbyło się ognisko prowadzone przez naszych najmłodszych uczestników – była to nagroda za dzielne wartowanie, podczas gdy reszta oglądała dozwolony od lat 14 film w ryńskim kinie... Ognisko, adekwatnie do wieku prowadzących dotyczyło głównie hasania po trawie i wyginaniu się we wszystkich znanych światu zabawach ruchowych... Pod koniec złapał nas deszcz, więc szybko udaliśmy się do koi, gdzie większość zasnęła od razu.

Poniedziałek 8.08.2011



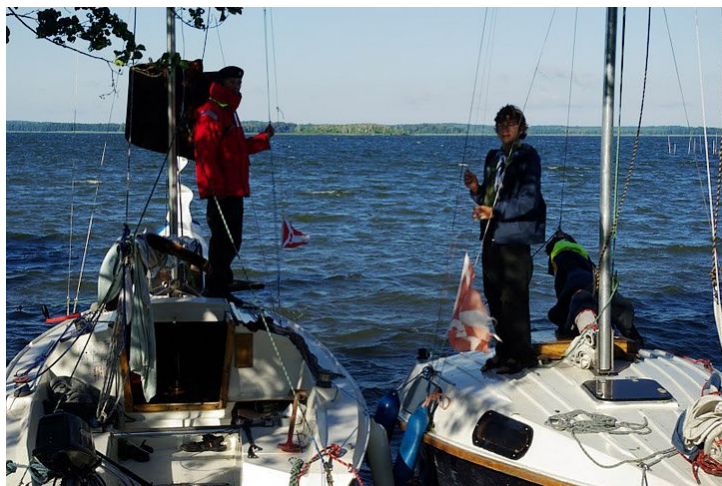
Tego dnia zostały zrobione ostatnie „mieszanki” w załogach, tak, aby każdy spróbował żeglowania na wszelkich jachtach i ze wszystkimi sternikami. Po śniadaniu wypłynęliśmy na Niegocin. Przy moście w Giżycku musiał być zrobiony postój. Jako, że most otwierany jest co kilkadziesiąt minut, dostaliśmy wolne. Następnie przepłynęliśmy na jezioro Kisajno i dopłynęliśmy aż za cypel jeziora Dobskiego – na Fuledzki Róg, gdzie zacumowaliśmy. Kolacja tego dnia była wyśmienita, gdyż piekliśmy sobie kiełbaski. Jednocześnie pogoda się zepsuła – po sytej kolacji zaczęło lać i wiać tak mocno, że instruktorzy oraz część uczestników weszła do wody, by przez kilkadziesiąt minut w zanurzeniu na szczęście tylko do kolan, chronić łódki. Po przejściu tej najsilniejszej fali deszczu i wiatru, zorganizowany został kominek dotyczący poezji śpiewanej. Przytoczone tam zostały postacie Wojciecha Bellona oraz Edwarda Stachury. Śpiewaliśmy głównie piosenki SDM-u i Wolnej Grupy „Bukowina” Po zakończonym ognisku wszyscy poszliśmy spać, jednak warta pozostała czujna, kontrolując stale bezpieczeństwo naszych jachtów.

Wtorek 9.08.2011



Rano wypłynęliśmy już w zwykłych załogach. Płynęliśmy aż do Węgorzewa, przy coraz mocniejszych warunkach, refując żagle i bujając się niemiłosiernie. Całe szczęście wiało od tyłu... Dystans z Dobskiego do Węgorzewa pokonaliśmy niezwykle szybko, a w porcie po sklarowaniu żagli i umyciu pokładu mieliśmy czas wolny. Następnie udaliśmy się na „prawdziwy” obiad do klubu 11 Mazurskiego Pułku Artylerii... Pierwszy i jedyny raz na obiedzie posiłek był dwudaniowy! Następnie, jakby tego luksusu było mało, dostaliśmy kolejną porcję czasu wolnego! Towarzystwo jednak po dzikości Fuledy nie miało dość i pobiegło do miasta. Później kolacja i upragniony kominek. Jego motywem przewodnim były „Śpiewające gitary”, na wzór emitowanego kiedyś teleturnieju o fortepianach, tyle że fortepiany zastąpiły gitary, a prowadzący nie był radosnym i rozległym Rudim Schubertem... Podzielono nas na dwie grupy. Było kilka rund, a wynik to 10:4. Potem krąg i spać.

Środa 10.08.2011



Po apelu i śniadaniu wypłynęliśmy z powrotem na południe. Płynęliśmy tak aż do Mamerek, gdzie stanęliśmy, aby zwiedzić bunkry z czasów II wojny światowej, które były siedzibą dla sztabu naczelnego dowództwa niemieckich wojsk lądowych. Po przejściu tunelu i wdrapaniu się na wieżę widokową, wróciliśmy na pomost, gdzie stały nasze łódki. Wypłynęliśmy z portu i płynęliśmy tak aż do Sztynortu. Jednakże z małymi problemami: w najbardziej newralgicznym momencie, przed wejściem do Kanału Sztynorckiego, prawie wszystkim skończyło się paliwo... Więc Kielce przyplłynęły na pomoc Mistralowi, a Ventus resztkami sił pomógł Sabatowi.

Kiedy dopłynęliśmy do Sztynortu pobiegliśmy zatankować, wykorzystując na wszelki wypadek wszystko, co mieliśmy pod ręką. Był też przepyszny obiad, tym pyszniejszy, że oczekiwany, a następnie czas na przygotowanie się do festiwalu obozowego, mającego się odbyć następnego dnia.

Po bardzo długo przygotowywanej kolacji (pobito tu wszelkie rekordy, gotowała się chyba 2 godziny), udaliśmy się na koncert zespołu EKT Gdynia. Nucąc szanty, poszliśmy spać.

Czwartek 11.08.2011



Rano na apelu ogłoszono dzień mówienia w języku angielskim, następnie wypłynęliśmy ze Sztynortu. Podczas pływania znalazło się kilka osób, które nie chciały dostosować się do ustaleń i trenowanie angielskich zwrotów zupełnie im nie w głowie. Wśród osób, które nie dostosowały się do rozkazu był nasz obożny. Za wszelką cenę nie chciał wymówić ani słowa w tym języku, nawet jeśli ktoś się do niego tak zwracał, to odpowiadał w języku ojczystym. Podejrzewamy jednak, że to nie brak zasobu słownictwa czy znajomości gramatyki, ale raczej wrodzona złośliwość nakazywała mu postępować właśnie w ten sposób.

Płynęło nam się szybko, w wietrze koło 5 w skali Beauforta, znów praktykowaliśmy refowanie i każdy mógł potrenować żeglowanie w nieco trudniejszych warunkach. Szybko znaleźliśmy się przy Kanale Giżyckim, potem dopłynęliśmy na kemping znajdujący się obok stacji harcerskiej w Rydzewie. Po obiedzie, krótkim odwiedzeniu „centrum” Rydzewa, powrocie i kolacji, odbył się kominek. Zapowiedzi wacht, jako że był to dzień mówienia po angielsku, również były po angielsku! Całe szczęście szanty mogliśmy śpiewać po polsku, chociaż nie jest to ich „naturalny” język...

Po wysłuchaniu niesamowitych szant oraz piosenki drużyny Vanessy („10 w skali Beauforta” zostało przerobione na „2 sekundy spóźniony”, a pieśń opowiadała o srogości i niesłychanych wymaganiach pewnego sternika - nie powiemy z grzeczności, że to druh Janek D.), kadra udała się na obrady jury (po polsku: żiri). Niestety, po niesłychanie burzliwej dyskusji powrócili do kręgu, lecz wyłonili tylko 3, 4 i 5 miejsce, a dwa pierwsze zostawili na apel. Kadra również przygotowała piosenkę, która spodobała się ogółowi i miejmy nadzieję, że wejdzie do ogólnego obiegu... A jest to znana piosenka o Gdańsku, a konkretnie o przechadzającym się jego ulicami kapitanie Białej Floty.... Po zakończeniu tego ostatniego na obozie kominka nastąpiła cisza nocna.

Piątek 12.08.2011



Długo czekaliśmy na ten moment, wszyscy byli bardzo ciekawi kto zwyciężył, a wreszcie po nocy nieustannej niepewności, na apelu ogłoszono, iż pierwsze miejsce zdobywa wachta Ventus (na długo zapamiętamy chór głosów niedługo już męskich, zawodzący: „Nieduży nasz okręcik, nieduży/Wciąż nowe miotają nim fale...”) zaś drugie – Święty Krzyż, niektórzy stwierdzili, że to „ośpiewany” należycie sternik zdenerwował się i wymógł tę decyzję na reszcie komisji, więc było drugie... Następnie po niezwykle smacznym śniadaniu (zgadnijcie, co było na śniadanie? ...i dlaczego przez następny miesiąc nikt nie jadł płatków nawet w domu rodzinnym?) wyruszyliśmy na krótkotrwały rejs za trzcinowy półwysep. Dobiliśmy profesjonalnie do kei, podchodząc na żaglach (obozowa praktyka zrobiła swoje) i pełni energii po dobrze przespanej nocy zabraliśmy się do klarowania łódek.

Smutne było to, że kazano nam wynieść nasze rzeczy z miejsc, w których przeżyliśmy wspaniałe dwa tygodnie. Obóz stacjonujący w stancy zaprosił nas na obiad w stołówce. Jako, że dziś piątek, dostaliśmy od nich rybę z ziemniakami oraz niesłychanie pyszną zupę pomidorową! Po tym obfitym obiedzie dokończyliśmy myć pokłady oraz nasi wspaniali mężczyźni wyciągnęli maki 606 z wody. Później druhowie popłynęli lub pojechali do Giżycka, gdzie tam w porcie lub na wózku część łodzi poczeka na transport do Kielc... Sabat i Kielce zostały zacumowane w Giżycku. Podczas nieobecności naszych druhowów reszta obozu poszła żwawo zbierać drewno na opał. Po powrocie dostaliśmy trochę czasu wolnego, aby się odświeżyć. Po czasie wolnym jedni układali stos, inni zaś robili kanapki na kolację...

Trwały jeszcze różne prace, ładowano sprzęt do przewiezienia do Kielc, przygotowywano łodzie w hangarze na przeżycie zimy... Następnie, w świetle zachodzącego słońca, odbył się apel kończący obóz. Później wszyscy zgodnie udali się na ostatnie ognisko. Tam jeszcze śpiewaliśmy, wspominaliśmy, planowaliśmy, jak jutro przejedziemy pół Polski pospiesznym z Giżycka...

Na tym ognisku odczytano te słowa. Tu dziennik się urywa.

samarytanka Magdalena Zawadzka,
33 Kielecka Harcerska Drużyna Żeglarska „Pasat”